

pozycji traktujących o historii państwa i prawa Ukrainy ocenić należy bardzo wysoko, szczególnie ze względu na niezmiernie bogatą podaną przez Autora faktografię, ocenę wielu wydarzeń, które nie są nacechowane szowinizmem i przesadnie podkreślanym patriotyzmem, a wręcz nacjonalizmem, o które to nietrudno w młodych państwach powstałych na obszarach dotkniętych brakiem stabilności politycznej, a co za tym idzie – prawnej, społecznej i ekonomicznej. Natomiast przywołane we wstępie motto w dobie deprecjacji znaczenia przedmiotów historycznych w ramach studiów prawniczych w Polsce mogłoby się znaleźć we wstępie każdego z podręczników do historii państwa i prawa naszego kraju.

► Michał Szreffel

Siergiej Łożuńko, *Urodliwe dzieci – pierwsze Wiersalja” iz-za ktorogo proizoszła Wtoraja mirowaja wojna, Eżenjeknik „2000”. Izlatielctwo „Diwira”, Kiew 2011, ss. 431*

Stosunki polsko-ukraińskie charakteryzują się zarówno złożonością dziejów obu narodów, mimo formalnego nieistnienia aż do 1917 r. z zakończe-

niem tego jesienią 1920 r. państwa ukraińskiego i jego powstaniem dopiero po rozpadzie ZSRR na początku 1990 r., jak i tym, że po tym fakcie podejmowane były wzajemne wysiłki dla ujednoczenia poglądów na mające miejsce wzajemne wydarzenia historyczne. W tym celu powołane zostały i pracowały wspólne komisje historyków obu państw. Doprowadziło to do pewnego zbliżenia stanowisk, ale – jak się okazuje – raczej o charakterze tymczasowym. Świadczą bowiem o tym coraz częściej powracające na Ukrainie tendencje do oskarżeń Polaków o nieprawdziwe prezentacje wielu wydarzeń historycznych, zwłaszcza z okresu XX w. Coraz silniejsze są dążenia do prezentacji wyłącznie własnych wersji mających miejsce wydarzeń, w tym i mordów wołyńskich z 1943 r., czy roli odgrywanej przez UPA i zaliczanie tego do ich ważnych wydarzeń historycznych służących utrwaleniu tożsamości narodowej. Widoczne jest to podczas odbywanych konferencji naukowych za sprawą głównie młodej generacji historyków ukraińskich, ale też i w ukazujących się publikacjach. W nich to dokonuje się nie tylko subiektywnej oceny faktów i wydarzeń, ale też i fałszowania niektórych z nich.

Książka S. Łożuńko jest publikacją niezwykle ciekawą. Jej jedyną zaletą jest atrakcyjna strona edytorska (twarda oprawa, notki biograficzne ważnych osobistości z ich zdjęciami) i to wszystko, co pozytywnego można o niej napisać, mimo że jest dość obszerną objęto-

ściowo liczącą 431 stron książką. Jej zawartość merytoryczna jest nie do zaakceptowania i to nie tylko przez profesjonalnych historyków. Zawiera nie tylko subiektywne oceny opisywanych wydarzeń i faktów, ale także tyle fałszerstw, że ich wykazanie wydaje się bezcelowe i zdecydowanie przekraczające rozsądne granice recenzji.

Trudno bowiem zaliczyć to „dzieło” tylko do subiektywnej prezentacji poglądów tegoż autora, bowiem aż mnoży się w niej od czynionego z premedytacją fałszowania wydarzeń i faktów historycznych; wygląda to za zabieg celowy, za którym nie stoi tylko sam autor, nawet wówczas, kiedy by kierował się zoologiczną nienawiścią do Polaków. Najchętniej należałoby pominąć zupełnym milczeniem to „dzieło”, gdyby nie fakt, wydaje się, prowokacyjnego z założenia jego charakteru.

Co można dowiedzieć się o autorze tej książki? Zaliczony został przez Wydawcę do najwybitniejszych autorów Klubu „2000”. Jest publicystą, a nie historykiem, i to – jak się wydaje – o fałszywych poglądach. Ma na swym koncie pewne publikacje z różnych obszarów historii najnowszej. Pisze w języku rosyjskim, stąd trudno ustalić, czy jest rodowitym Ukraińcem. Zupełnie nie kieruje się przy pisaniu prac historycznych założeniami metodologii tej dyscypliny.

Tytuł tej publikacji jest prowokujący, a dla Polaków obraźliwy. Autor stara się wykazać, że Polska była „dzieckiem” Wersalu i jako taką uznać

ją można za sprawczynię II wojny światowej. Absurdalność tego założenia nie wymaga wnikliwszego uzasadnienia. Jest to bowiem wymysł niemający żadnego źródłowego uzasadnienia. To jednak dla autora jest normą, on takich uzasadnień nie potrzebuje. Dla niego ważna jest teza wyjściowa, która jest nawet nie hipotezą badawczą, lecz aksjomatem. Co do wykorzystywanej bazy „źródłowej”, to jest niezwykle uboga i sprowadzona wyłącznie do historiografii rosyjskiej sprzed „piestrojki”, a to już jednoznacznie wskazuje na charakter tego opracowania. Nie dostrzegłem w przypisach powołania się na polskie publikacje – książka jest o Polsce – poza jednym przywołaniem dokumentów źródłowych, i to ze zniekształconym ich przytoczeniem. Czy nie jest to paradoks? Brakuje bibliografii. Przypisy, nader oszczędne i do tego powołujące się na sygnalizowane już publikacje, znajdują się po każdym podrozdziale.

Recenzowane „dzieło” dzieli się na 6 części: pierwsza to swoista forma wstępu zatytułowana *Wmiesto predisłowija*, kolejna *Na „bolszoi dorogje” niezawisimosti*, następna *Płeczom k płeczus Gitlerom*, po czym *Gijena Ewropy*, przedostatnia *Polsza dajet signal Wtoroj mirowoj wojny* i ostatnia – jakoby forma zakończenia – *Wmiesto epiloga*. Już same tytuły wymienionych rozdziałów wskazują na to, co jest celem autora przy przekazie treści tej książki.

Nie jest zamiarem recenzenta prostowanie stwierdzeń zawartych w tym

„dziele”. Uznają to za bezzasadne z racji jego charakteru. Dla ilustracji bzdurnych sformułowań może świadczyć przykładowo tytuł pierwszego podrozdziału w tłumaczeniu polskim *Polskiego dżinna wypuszczono z butelki*. Tytuł sugerować ma, że mocarstwa zachodnie na konferencji pokojowej w Wersalu celowo restytuowały Polskę dla powstania swoistego „potwora”, który będzie sprawcą doprowadzenia do kolejnej wojny światowej. Absurdalność tej tezy jest tak oczywista, że nie wymaga ustosunkowywania się do niej. Autor ten stara się wykazać imperialistyczny, agresywny charakter wojny rozpętanej przez Józefa Piłsudskiego przeciwko bolszewickiej Rosji prowadzonej w latach 1919–1920. Zupełnie nie dostrzega zamiarów bolszewików przenoszenia fali rewolucyjnej na zachód Europy, za to wykazuje narodowy charakter tej wojny prowadzonej ze strony Rosjan.

O fałszowaniu historii przez analizowanego autora świadczy wiele podawanych przez niego informacji, jak choćby takie, że po polskim „buncie” lat 1830–1831 – chodzi o powstanie listopadowe – car Aleksander II miał amnestionować 9 tys. jego uczestników, zaś w marcu 1861 r. Królestwu Polskiemu miała być przyznana autonomia (!). W podobnym tonie utrzymany jest dalszy wywód doprowadzony do listopada 1918 r., w tym rzekome obietnice niepodległości, jakie Polakom mieli składać bolszewicy z Włodzimierzem Leninem na czele. Pytanie, jakiej? Jeże-

li z ustrojem sowieckim, to zgoda. Na potwierdzenie tego przytaczane są nawet dekrety, w tym o zwrocie polskich dóbr kultury. Humorystycznie zapytać można, kiedy zostały one zwrócone. Wojnę Polski z Rosją radziecką przedstawił jako prowadzoną dla załadnięcia nienależnymi terytoriami i oczywiście używając dla niej określenia „agresja”. Do tego miała być prowadzona za pieniądze mocarstw zachodnich. Opis przywoływanej wojny jest kuriozalny i sprowadzony do zbrodni i gwałtów popełnianych na żołnierzach Armii Czerwonej oraz cywilnej ludności niepolskiej. Jako od dawna specjalizujący się w problematyce tej wojny mógłbym na niemal każdej stronie tego „dzieła” znaleźć wielokrotnie przykłady fałszowania wydarzeń czy prezentowania karkołomnych interpretacji opisywanych wydarzeń. Czy nił tego nie będę, sygnalizując tylko styl pisarski tego autora. Jedną z tez usilnie lansowaną jest posądzenie Polaków o celowe mordowanie ludności w zajmowanych przez nich miastach Ukrainy podczas wiosennej ofensywy ich wojsk w 1920 r. Pisze obszernie o mordach rzekomo popełnianych przez te wojska na okolicznej ludności cywilnej. W mieście Równe miano rozstrzelać 3 tys. cywilnych mieszkańców, w Żytomierzu – 500 (s. 58–59). Są to informacje niemające pokrycia w źródłach. Ustosunkuje się nieco szerzej do oszczerczych wobec Polaków, w konfrontacji z faktami, opisów odnoszących się do traktowania przez nich

jeńców z Armii Czerwonej. Otóż ten pseudohistoryk ośmiela się porównywać zbrodnie hitlerowskie popełnione na jeńcach Armii Czerwonej z II wojny światowej do polskich z wojny z Rosją radziecką z lat 1919–1920. Dowodzi – jak zwykle bez powołania się na źródła – że 60 tys. do 85 tys. jeńców z tej armii zginęło w polskiej niewoli (s. 65). Do tego egzystencję mieli zakończyć w niezwykle urągających, nieludzkich warunkach. Pisze wręcz: „W takich warunkach przebywali w polskiej niewoli mało co różniących się od tego, z czym za dwa dziesięciolecia przyszło zetknąć się radzieckim jeńcom wojennym w hitlerowskich łagrach” (s. 70). Po czym wymienia, że w „łagrach” w Strzałkowie, Tucholi i Dąbiu k/Krakowa jeńcy nie otrzymywali bielizny w przeciagu trzech miesięcy, jedni otrzymywali ją tylko raz, inni w ogóle. Jeńcy w Dąbiu k/Krakowa nie mieli obuwia, a w punkcie koncentracyjnym 18. DP nie posiadali żadnej odzieży. Powołując się rzekomo na doniesienia amerykańskiej misji – bez udokumentowania tego – odwiedzającej 112. i 222. kompanię roboczą, pisze, że w pierwszej 90% jeńców nie miało odzieży. Prowokująco powołując się na rzekome oficjalne doniesienia polskiej służby zdrowia – bez podania źródeł – dowodzi, że według niej biorąc średnią umieralność jeńców w obozie w Tucholi, wszyscy tam przetrzymywani mieli umrzeć w ciągu pięciu–sześciu miesięcy (s. 71). W tej publikacji znajduje się nawet taka informacja, że w 1998 r. Prokuratura Generalna

Federacji Rosyjskiej miała wystosować pismo do swojej odpowiedniczki w Polsce, żądając wyjaśnienia przyczyny śmierci 83,5 tys. (!) jeńców z Armii Czerwonej (s. 72). To fakt, tyle że bez podania źródła tych kuriozalnych wyliczeń. Powyższe rozważania kończą się bałamutną i oszczerczą tezą: „Jak by to nie było u Polaków brak najmniejszego moralnego prawa żądać pokajania i przeproszenia za Katyń, tym bardziej od Rosji” (s. 73). Tenże autor nawet jednym zdaniem nie napisał o jeńcach Wojska Polskiego w rosyjskiej niewoli. Może uznał, że takowych nie było, albo że sprawa jest tak niewygodną dla jego toku myślenia, iż nie należy jej nawet wywoływać. Dlaczego zupełnie nie wspomina o łagrach i gułagach utworzonych przez bolszewików w których śmierć poniosło dziesiątki tysięcy Polaków, w tym jeńców wojennych. Powyższą publikację należałoby pozostawić bez komentarza. Twierdzą jednak, że nawet posądzenia i oszczerstwa oraz absurdalne informacje mają jakieś granice tolerancji, czego u tego autora zupełnie zabrakło.

Bardzo krytycznie S. Łozuńko ocenił lata 1926–1935, czyli okres pełni władzy sprawowanej przez marsz. Piłsudskiego. Krytyczny osąd to jednak w jego przekonaniu zbyt mało, stąd wzbogaca go o wymyśloną faktografię. O jednej sprawie wypada napisać. Otóż cały podrozdział (s. 169–179) poświęcił zaprezentowaniu „Paktu Hitler-Piłsudski” mającego być formą tajnego protokołu do układu o nie-

agresji z 26 stycznia 1934 r. Posiłkując się rzekomą dokumentacją rosyjską – miały być to artykuły zamieszczone w „Prawdzie” i „Izwestiach” z połowy 1935 r.; wartość takich źródeł jest co najmniej humorystyczna – stara się wykazać, że istniał tajny protokół do wymienionego układu. Nie ma na to żadnego poważnego dowodu, do tego polscy historycy badający wcześniej te insynuacje rosyjskie nie znaleźli nawet śladu wskazującego na prowadzenie takich rokowań. Logika – przede wszystkim rozwój wydarzeń po tym układzie – wskazuje też, że porozumienie takowe nie mogło mieć miejsca, a już określanie tego jako „Pakt Hitler–Piłsudski” jest próbą zafałszowania historii dla celów wyłącznie propagandowych. Jak bowiem można wytłumaczyć to, że jesienią 1934 r. na wniosek Piłsudskiego kierownictwo wojska i MSZ odpowiedzieć miało na pytanie: z czyjej strony grozi Polsce większe niebezpieczeństwo Niemiec czy ZSRR. Tak pisać może tylko propagandzista i osoba dążąca do oczerniania innej strony bez troski o udokumentowanie tego, dla której nie istnieją dokumenty źródłowe i logika ich analizy oraz interpretacji. Kuriozalny charakter ma kolejny podrozdział o polskiej stawce na japońską agresję na ZSRR. O pozostałych niedorzecznościach nie ma sensu pisać, a tych jest bez liku. Wspomnę tylko o ostatnim rozdziale, w którym to „znawca” historii Polski i Europy stara się wykazać, że to Polska dała sygnał do wybuchu II wojny światowej. Obarcza

tą odpowiedzialnością marsz. Edwar-
da Śmigłego-Rydza. Dla niego układ brytyjsko-polski z 25 sierpnia 1939 r. miał być ostatecznym sygnałem przesądającym o potrzebie niemieckiego uderzenia na Polskę. Brakuje natomiast potępienia układu Ribbentrop–Molotow z 23 sierpnia 1939 r., jakby on niewiele wnosił do zbliżającej się wojny. Dla niego było to nie „ustępstwo”, lecz „wybieg” ze strony Moskwy dla zyskania czasu na ewentualną rozprawę z Wehrmachtem (s. 410). Zupełnie zbyta milczeniem została kwestia tajnej części przywoływanego układu – ten istniał realnie w przeciwieństwie do wymyślonego rzekomo paktu Hitler–Piłsudski – tak jakby nie miał on znaczenia dla losów Europy i świata.

Czy odniósł się natomiast tenże presudohistoryk do rosyjskiej agresji na Polskę rozpoczętej 17 września 1939 r.? Tak odniósł, ale z jakim komentarzem? Ten wywód podsumował następująco (s. 414): „Dziękować należy temu, że ZSRR zajął we wrześniu 1939 r. te ziemie [polskie Kresy Wschodnie – L.W.], które polacy [oryginalna pisownia – L.W.] zajęli przed dwoma dziesięciolecciami wcześniej, ich strategiczne pozycje znacznie się poprawiły”. Po czym w kilometrach podaje odległości tej granicy przesuniętej na wschód. To pozostawiam bez komentarza. Tak pisać może tylko osoba nienawidząca Polski i jej mieszkańców. Tak, jak widzimy, można wytłumaczyć brutalną agresję ZSRR, która skutkowałą nie tylko nabytkami terytorialnymi, ale setkami

ofiar Polaków, którzy znaleźli się na tych terenach, w tym i sprawą katyńską.

Tyle refleksji o tej kuriozalnejszej książce. Co o niej sądzą Ukraińcy, a zwłaszcza ich historycy, trudno przesądzać, bowiem nie odnotowałem informacji o tym. Zwracam się wobec tego do historyków-profesjonalistów z tego kraju by zabrali publicznie głos w tej sprawie. Tego wymaga ich rzetelność badawcza. Takich „wybryków” nie można zbywać milczeniem. Nie służy to z pewnością wzajemnym stosunkom.

► Lech Wyszczelski

Irvin Cemil Schick, *Seksualność Orientu. Przestrzeń i Eros*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2012, ss. 338

Przestrzeń i seksualność a technologie władzy

Świat się kurczy. To zdanie jest oczywistym truizmem, bowiem jedną z najdonioślejszych konsekwencji procesów globalizacyjnych jest skracanie dystansu. W konsekwencji zbliżenie odległych od siebie przestrzeni, kształtowanych w toku dziejów przez odmienne wspólnoty, funkcjonujące w zróżnicowanych warunkach, często w absolutnej nieświadomości wzajemnego istnienia.

Odległych zarówno w znaczeniu geograficznym, jak i kulturowym. Unifikacja i kształtowanie społeczeństwa globalnego, połączonego wirtualną siecią, wydaje się wciąż zjawiskiem powierzchownym, odzwierciedlanym przede wszystkim w kulturze popularnej i strukturze konsumpcji. Pomimo wciąż postępującej dyfuzji kulturowej nadal występują wyraźne różnice pomiędzy cywilizacjami, obejmujące cały szereg aspektów. Sfera seksualności jest jednym z nich, tych najbardziej intymnych, dlatego wciąż budzących zainteresowanie, ciekawość badawczą, charakteryzującą uczonych pragnących zgłębić problemy związane z różnorodnością wartości i postaw w ich relacji z problematyką płci, ale również moralne oburzenie i ekscytację ciekawskich przedstawicieli obyczajowych ortodoksji. Jakkolwiek brzmi połączenie dwóch ostatnich w jeden zbiór.

Różnice w tej właśnie sferze, tak ułatwiające autoidentyfikację osób i podmiotów zbiorowych w procesie formowania tożsamości indywidualnych oraz kolektywnych, pełnią rolę punktów odniesienia, nie tylko wewnątrz wspólnot, ale również w wyznaczaniu granic pomiędzy nimi. W odwiecznym sporze pomiędzy zwolennikami tradycji i postępu, *inny* obok wielu użytecznych funkcji staje się przydatnym przykładem zepsucia. Bez względu na to, czy definiują go imamowie, chrześcijańscy integraliści czy jakiegokolwiek grupy interesu, dążące do petryfikacji struktur i relacji społecznych, uproszczenie